

**O**TRZYMAŁEM niedawno list od czytelnika tej rubryki, pana H.S. z Warszawy, który przytacza liczne przykłady lekceważenia widza i niechlujstwa w pracy telewizji (systematyczne opóźnianie, zmiany programów itd.). List jest zbyt obszerny, by go tu cytować, wobec tego przekazuję go zainteresowanym na placu Powstańców Warszawy. Nie sposób jednak nie uzupełnić listy pretensji p. H.S. o przykłady z ostatnich dni. Oto np. w ub. tygodniu wiele gazet i czasopism (w tym także i „SM”) zaanonsowało na



## Dwa niewypały i „Czterej pancerni”

poniedziałek — na podstawie informacji TV — spektakl „Pozegnania z Maria” wg Tadeusza Borowskiego. Alifci z programu pozycja ta zniknęła. Zdarza się. Można było jednak spodziewać się w tym wypadku przynajmniej paru słów wyjaśnienia, nie mówiąc już o przeproszeniu widzów za zmianę. Zamiast tego usłyszeliśmy lakoniczny, obojętnie przez p. Pacha wycedzony komunikat mniej więcej następującej treści: „Szereg pism zapowiedziało na dzisiaj premierę „Pozegnania z Maria”. Informujemy, że spektakl ten nadamy dopiero za tydzień, 16 maja. Koniec. Kropka. Z takiego sformułowania wynikałoby, że TV w niczym nie poczuwa się do winy, do obowiązku wytłumaczenia się wobec widza, przeproszenia go, że w ogóle odpowiedzialność za wprowadzenie w błąd spada na prasę. Oto nie pierwszy już wypadek lekceważenia widza i dobrego obyczaju.

Natomiast przykładem pospolitego niechlujstwa technicznego może być katowicki program „Przy sobocie po robocie”. Wyglądało na to, że obsługa jednej z kamer dopiero podczas tego programu uczyła się swojej trudnej sztuki. Zamiast solistów prezentowała nam bądź stojącą w kulisie inspicjentkę ze scenariuszem w reku, bądź piosenkarkę w neglizżu ze kulisami (na większym zbliżeniu mogło to być nawet atrakcyjniejsze od programu), a kiedy już kamerzystom udało się wreszcie jako tako skorygować obraz, to był on zamazany, nieostry, przypominał transmisję z kosmosu. I tak przez całą prawie godzinę.

To wszystko pogłębiało jeszcze bardziej niedzę tego widowiska, żenującego pod każdym względem. Zaangażowano do niego grono świetnych wykonawców, głośnych nazwisk, całość zadedykowano hutnikom, którzy akurat obchodzili swoje święto. Nie wiem, czy twórcy tego pseudorozrywkowego programu mają tak kiepskie mniemanie o gustach hutników (i wszystkich widzów), czy też sami uważają swój — pachnący tandetą i starzyzną — produkt za wzór tzw. „kultury masowej”. Było tu co prawda parę numerów i ambientniejszych, ciekawszych, gmięły one jednak w morzu staroświeckości, pseudo-parodii. Pseudo, bowiem nie o

parodię tu chodziło, ale o odgrzanie raz jeszcze starych „kawałków”. W nie najlepszym często wykonaniu, by wspomnieć owego pana, który nie umiał nawet poprawnie zacytować wykpiwanych szlagierów, a i z polszczyzną był na bakier, czego przykładem użyta przez niego nowa forma czasownika „kwitnęły (!) bzy”. Pozostaje tylko na zakończenie wyrazić zdziwienie, że wśród autorów programu znalazło się nazwisko doświadczonego fachowca — Czesława Szpakowicza.

Nie ma powodu do radości także i z okazji widowiska dramatycznego Lidii Zamkow (i w jej reżyserii) pt. „Zdobytą horyzont”, napisanego na podstawie „Mata Kurta Krausa”, Gustawa Morcinka. Szczerze mówiąc, był to spektakl bardzo, bardzo nieudany. Zza patetycznych żywych obrazów nie widać było ani skomplikowanej drogi, jaka przeszedł powieściowy Kurt Kraus od awanturnika do świadomego bojownika o polski Śląsk (rzecz się dzieje w czasie powstania śląskiego i na jego rocznicę została wystawiona), ani prozy Morcinka, ani w ogóle jakiegokolwiek koncepcji inscenizacyjnej. Poszatkowany tekst książki p. Lidia Zamkow, „wzbogacenia” o fragmenty poezji Broniewskiego, Majakowskiego, Tuwima itd., recytowanej jak na akademii przed 15 laty. Po co? Tego nikt nie wie. Z równym powodzeniem można było wmontować w widowisko np. przemówienia Korfanteo, pisma Karola Miarki i wielu innych. Na domiar wszystkiego spektakl był fatalnie grany, nawet Leszek Herdegen czuł się bardzo nieswojo w tym dziwnym, pretensjonalnym widowisku.

Na szczęście przygnębiające wrażenie po tych dwu niewypałach złagodziły nieco dwie inne, tym razem udane pozycje zeszłotygodniowego programu TV. Pierwszą byli „Żołnierze” Ernesta Brylla w reż. Kazimierza Kutza, o których obszerniej pisałem latem ub. roku z okazji premiery. Jest to wzniosła, autentyczna w klimacie widowiska oparte na listach żołnierzy frontowych II Armii WP, świetnie zagrane, sprawnie, celowo i komunikatywnie zainscenizowane. Dobrze, że je przypomniano. Druga pozycja — rozrywkowa — był kolejny program z dawno nie przypominanego cyklu „Śpiewki stare, ale jare”. Tym razem zaprezentowano bukiet ludowych, najczęściej anonimowych dawnych piosenek czeskich i słowackich, w opracowaniu Józefa Waczkowa i Tadeusza Polanowskiego, a w reż. Janusza Rzeszewskiego. Łódzcy aktorzy (wśród nich parę zgrabnych i urodziwych dziewcząt) podawali je z nieudawanym temperamentem, swoboda i wdziękiem. Całość barwna, efektowna, przyjemna dla oka i ucha.

Zamiast wspomnianego „Po-

poniedziałek — na podstawie informacji TV — spektakl „Pożegnania z Marią” wg Tadeusza Borowskiego. Aliści z programu pozycja ta zniknęła. Zdarza się. Można było jednak spodziewać się w tym wypadku przynajmniej paru słów wyjaśnienia, nie mówiąc już o przeproszeniu widzów za zmianę. Zamiast tego usłyszeliśmy lakoniczny, obojętnie przez p. Pacha wycedzony komunikat mniej więcej następującej treści: „Szereg pism zapowiedziało na dzisiaj premierę „Pożegnania z Marią”. Informujemy, że spektakl ten nadamy dopiero za tydzień, 16 maja. Koniec. Kropka. Z takiego sformułowania wynikałoby, że TV w niczym nie poczuwa się do winy, do obowiązku wytłumaczenia się wobec widza, przeproszenia go, że w ogóle odpowiedzialność za wprowadzenie w błąd spada na prasę. Oto nie pierwszy już wypadek lekceważenia widza i dobrego obyczaju.

Natomiast przykładem pospolitego niechlujstwa technicznego może być katowicki program „Przy sobocie po robocie”. Wyglądało na to, że obsługa jednej z kamer dopiero podczas tego programu uczyła się swojej trudnej sztuki. Zamiast solistów prezentowała nam bądź stojącą w kulisie inspicjentkę ze scenariuszem w ręku, bądź piosenkarkę w neglizżu ze kulisami (na większym zbliżeniu mogło to być nawet atrakcyjniejsze od programu), a kiedy już kamerzystom udało się wreszcie jako tako skorygować obraz, to był on zamazany, nieostry, przypominał transmisję z kosmosu. I tak przez całą prawie godzinę.

To wszystko pogłębiało jeszcze bardziej nędzę tego widowiska, żenującego pod każdym względem. Zaangażowano do niego grono świetnych wykonawców, głośnych nazwisk, całość zadedykowano hutnikom, którzy akurat obchodzili swoje święto. Nie wiem, czy twórcy tego pseudorozrywkowego programu mają tak kiepskie mniemanie o gustach hutników (i wszystkich telewizorów), czy też sami uważają swój — pachnący tandetą i starzyzną — produkt za wzór tzw. „kultury masowej”. Było tu co prawda parę numerów ambitniejszych, ciekawszych, ginęły one jednak w morzu staroświeckości, pseudo-parodii. Pseudo, bowiem nie o

parodię tu chodziło, ale o odgrzanie raz jeszcze starych „kawałków”. W nie najlepszym często wykonaniu, by wspomnieć owego pana, który nie umiał nawet poprawnie zacytować wykpiwanych szlagierów, a i z polszczyzną był na baktier, czego przykładem użyta przez niego nowa forma czasownika „kwitnęły (!) bzy”. Pozostaje tylko na zakończenie wyrazić zdziwienie, że wśród autorów programu znalazło się nazwisko doświadczonego fachowca — Czesława Szpakowicza.

Nie ma powodu do radości także i z okazji widowiska dramatycznego Lidii Zamkow (i w jej reżyserii) pt. „Zdobytą heryzont”, napisanego na podstawie „Mata Kurta Krausa”, Gustawa Morcinka. Szczerze mówiąc, był to spektakl bardzo, bardzo nieudany. Zza patetycznych żywych obrazów nie widać było ani skomplikowanej drogi, jaką przeszedł powieściowy Kurt Kraus od awanturnika do świadomego bojownika o polski Śląsk (rzecz się dzieje w czasie powstania śląskiego i na jego rocznicę została wystawiona), ani prozy Morcinka, ani w ogóle jakiegóż rozsądnej koncepcji inscenizacyjnej. Poszatkwany tekst książki p. Lidia Zamkow, „wzbogaciła” o fragmenty poezji Broniewskiego, Majakowskiego, Tuwima itd., recytowanej jak na akademii przed 15 laty. Po co? Tego nikt nie wie. Z równym powodzeniem można było wmontować w widowisko np. przemówienia Korfanteo, pisma Karola Miarki i wielu innych. Na domiar wszystkiego spektakl był fatalnie grany, nawet Leszek Herdegen czuł się bardzo nieswojo w tym dziwnym, pretensjonalnym widowisku.

Na szczęście przygnębiające wrażenie po tych dwu niewypalonych złagodziły nieco dwie inne, tym razem udane pozycje zeszłotygodniowego programu TV. Pierwszą byli „Żołnierze” Ernesta Brylla w reż. Kazimierza Kutza, o których obszerniej pisałem latem ub. roku z okazji premiery. Jest to wzruszające, autentyczne w klimacie widowisko oparte na listach żołnierzy frontowych II Armii WP, świetnie zagrane, sprawnie, celowo i komunikatywnie zainscenizowane. Dobrze, że je przypomniano. Drugą pozycją — rozrywkową — był kolejny program z dawno nie przypomnianego cyklu „Śpiewki stare, ale jare”. Tym razem zaprezentowano bukiet ludowych, najczęściej anonimowych dawnych piosenek czeskich i słowackich, w opracowaniu Józefa Waczkowa i Tadeusza Polanowskiego, a w reż. Janusza Rzeszewskiego. Łódzcy aktorzy (wśród nich parę zgrabnych i urodziwych dziewcząt) podawali je z nieudawanym temperamentem, swobodą i wdziękiem. Całość barwna, efektowna, przyjemna dla oka i ucha.

Zamiast wspomnianego „Pożegnania z Marią” obejrzelśmy pierwszy odcinek nowej telewizyjnej serii filmowej, zrealizowanej przez Konrada Nałęczkiego na podstawie popularnej książki Janusza Przymanowskiego „Czterech pancerni i pies”. Jeżeli następne będą równie atrakcyjne i obfitujące w emocje i przygody — można będzie z czystym sumieniem powiedzieć, że mamy nareszcie dobrą serię telewizyjną, po fatalnych doświadczeniach np. z „Kapitanem Sowa”, i niepowodzeniach „Dnia ostatniego, dnia pierwszego” czy „Perł i dukatów”. Efektowna sceneria (mieliśmy nawet żywego tygrysa wśród śniegów ussuryjskiej tajgi, zgrabnie zainscenizowanej na polskim Podgórzu), zajmująca anegdota, dobre aktorstwo (świetny jest Janusz Gajos w roli Janka), sprawną realizacją — oto atuty pierwszego odcinka „Czterech pancernych”. Miejmy nadzieję, że i pozostałe nie będą gorsze. Jedyną wątpliwość budzi koncepcja dialogów. Trzeba się było na coś zdecydować: albo na dwujęzyczność (polski i rosyjski), albo na wyłącznie polskie dialogi. Charakterystyczne zdania rosyjskie wplatanie przez Rosjan mówiących cały czas po polsku wprowadzają od razu element fałszu, udawania, a nawet swego rodzaju tandety. Tego rodzaju niekonsekwencje zdarzyły się zresztą nie po raz pierwszy w polskich seriach telewizyjnych.

JERZY ELJASIAK